№ 4. WARSZAWA, 8 KWIETNIA 1906 R. ROK I.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY.

PRENUMERATA:

W Warszawie:		Z przes. pocztową:	
Z odnosz. do domu	r. k.		r. k.
Rocznie	7 60	Rocznie	9 —
Kwartalnie	1 90	Kwartalnie	2 25
Miesięcznie	— 65	Numer pojedyńc.	— 20
Numer pojedyńcz.	— 15	Za zmianę adresu	— 20

„PRZEGLĄD SPOŁECZNY" wychodzi co sobota.

Adres Redakcji i Administracji ul. Bracka № 12.

Ogłoszenia po k. 10 za wiersz petitu. Reklamy po tekście k. 30 za wiersz petitu. Nadesłane na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz

Administracja otwarta od 10 do 6 — prócz świąt

W interesach redakcyjnych porozumiewać się można od 3-ej do 4-e

DROBNE RĘKOPISY NIE ZWRACAJĄ SIĘ.

Szanownych Prenumeratorów prosimy o nadsyłanie przedpłaty, a także adresów dla №-ów okazowych.

ST. BRZOZOWSKI.

Drogi i badania nowoczesnej filozofji.

W pismach Marksa i Engelsa z okresu, w którym wyjaśniali oni sobie stanowisko, jakie mieli zająć w obec zasadniczych zagadnień życia i myśli naszej epoki, odnajdujemy częste wzmianki o „ostatnich filozofach."

Ostatnich? Jak mamy to rozumieć. Czyżby istotnie filozofja miała się stać czémś zbytecznem, niepotrzebnem? Czyżby nagle zagłuchła żądza i potrzeba jasności w pojmowaniu siebie i świata? Czy też pozyskane zostały raz na zawsze ustalone rozwiązania zagadnień, które dotychczas niepokoiły myśl ludzką i sumienie! Niepodobna nie spostrzedz, że w marksizmie współczesnym panują pod tym względem pojęcia niejasne i dwuznaczne. Mamy tu do czynienia z jednem z tych zagadnień, nad któremi współczesna literatura marksistyczna lubi przechodzić do porządku dziennego pośpiesznie a nieszczerze, maskując tanim a szablonowym dowcipem, nic nie mówiącym frazesem, całkowity brak wniknięcia w istotę sprawy.

Mówi się naprzykład: każdy systemat filozoficzny jest odbiciem danej struktury ekonomiczno-społecznej i analiza zawsze jest w stanie wykazać po za pozornie logiczną budową pojęć—utajoną grę interesów. Jakiż wypływa stąd wniosek: czy ten, że miejsce filozofji zająć ma w przyszłym układzie narodzić się mającej kultury roztrząsanie i analizowanie, jakiemu układowi sił społecznych odpowiadał ten lub ów ze znanych światopoglądów? Człowiek przyszłości będzie wiedział dokładnie, jak wyobrażał sobie świat członek trzeciego stanu z epoki, poprzedzającej wielką rewolucję francuską lub drobnomieszczanin z roku 1848 — ale czy ta wiedza kreślona minimum mniemań ludzkich—ma im zastąpić odpowiedź na własne niepokojące jego samego pytania? Czy ten przyszły człowiek, ta nowa, swobodna ludzkość, narodziny której są jedyną nadzieją wszystkich, co mają jeszcze odwagę czuć i myśleć po ludzku, będzie tylko przechowywać pamięć błędów i porażek, przez ludzkość dotychczasową popełnianych i doznawanych, sama zaś nie zdobędzie się ani na jedno słowo twórcze... Dziwny istotnie pogląd na ludzkość i jej siły, który czyni jedyną dźwignią życia umysłowego błąd. Dopóki istnieją przeciwieństwa klasowe, póty ich gra i walka wytwarza systematy filozoficzne, komercje moralne, twórczość artystyczną, gdy jednak zaniknie działanie tego czynnika wszystko to ustanie. Innemi słowy, gdy zaniknie działanie czynnika, który wykrzywiał wszystkie stosunki zewnętrzne i wewnętrzne człowieka, który nie pozwalał mu być szczerym ani w obec przyrody, ani w obec myśli własnej, ani szczególniej w obec zagadnień współżycia ludzkiego zaniknie sama praca myśli. Gdy zaniknie to, co dotychczasowej ludzkości widzieć prawdę przeszkadzało, oślepnie ona całkowicie. Gdyby jedyną wiedzą, jaką zabezpiecza i daje marksizm pojmowanie tych sprężyn i interesów życiowych, które fałszowały dotychczas i czyniły niezupełnemi wszelkie usiłowania poznania świa-

ta i samouświadamiania ludzkości, był by on filozofją bankructwa człowieka, nie zaś postępu i odrodzenia. Sens jego bowiem cały: polegał by wówczas na tem: myśl ludzka za jedyne zadanie ma albo uprawniać wyzysk i uciemiężenie istniejące, albo tworzyć urojenia, mające nam przesłaniać twardą i okrutną rzeczywistość i nie pozwolić dostrzedz własnego upokorzenia i nędzy, albo też nareszcie przeniknąć tę grę oszustwa i samoułudy i zrzec się myśli, której naturą i zadaniem jest kłamać. Kłamstwo jest żywiołem ludzkości niewyzwolonej, ludzkości, która musi być oszukiwana i łudzona, aby módz znieść kaleczący ją i poniżający ustrój, ludzkości wolnej kłamstwo ani ułuda potrzebnemi nie będą. Czy ma to znaczyć, że niepotrzebną będzie jej i myśl. Marks nauczył nas dostrzegać *interes* po za każdą dotychczasową bezinteresownością, nauczył nas, że człowiek nie mógł oddawać się bez zastrzeżeń logice myśli ani logice rzeczy, gdyż przystępował zawsze do badań i dociekań z gotowemi już odpowiedziami. Myśl miała zawsze doprowadzić do rezultatów uprawniających, usprawiedliwiających — dany ustrój społeczny, bądź bezpośrednio, bądź też pośrednio i bezwiednie: dany ustrój wytwarzał w badaczu czy myślicielu systemat pojęć moralnych, filozoficznych, estetycznych, które uważał on za „wrodzone“, podyktowane przez rozum wieczysty i t. p. Podstawę wszelkiego dogmatyzmu teoretycznego stanowił i stanowi zawsze dogmatyzm praktyczny i społeczny. Póki społeczeństwo nie będzie prawdziwie i istotnie organizacją swobody wszystkich swoich członków, póki będzie w niem coś narzuconego, wyniesionego ponad krytykę, póki organizować ono będzie tylko swobodę cząstkową, swobodę do pewnego stopnia, póty i w myśli ludzkiej grasować będą różne uświadomione lub nieuświadomione dogmaty, póty świat będzie dla człowieka zagadnieniem z zawsze znanem z góry rozwiązaniem, pewnym gatunkiem logogryfu, z którego wynika zawsze jakaś maksyma budująca, nudna i szara. To wszystko wiemy i w tropieniu tych altruistyczno-miłosiernych (ale nie burzcie przeszłości ołtarzy, jeszcze się na nich święty ogień żarzy i miłość ludzka tam stoi na straży etc.) i czy też otwarcie drapieżnych samooszustw zyskaliśmy już niepospolitą wprawę. Jest to dopiero negatyczna, czysto przygotowawcza część pracy. Tłómacząc i wyjaśniając, dlaczego ludzkość we wszelkich dotychczasowych próbach swych i usiłowaniach wytworzenia światopoglądu była skrępowana: dlaczego wszelkie te próby musiały prędzej czy później wyrodnieć, Marks tem samem zakłada podstawy pod przyszłe wielkie odrodzenie filozofji. Wykazuje tylko, że droga do wyzwolenia filozoficznego, prowadzi poprzez wyzwolenie rzeczywiste, droga do myśli poprzez czyn. W tem znaczeniu jedynie pojmować można jego słowa „o ostatnich filozofach“, o „końcu filozofji jako takiej“.

Zastanówmy się nad tem, jaką była zasadnicza podstawa myślowa filozofji? Zawierała się ona w formule: zrozumieć świat, ażeby określić swoje w niem stanowisko. Ludzkość ma poznać, zrozumieć, czem jest świat, aby zrozumieć jakie są jej w nim zadania i cele, opiera się także sformułowanie zadania na dwóch założeniach. 1-o Że świat jest całością gotową, skończoną, że nie staje się on tylko jest, i że ten jego byt ludzkość całą ogarniającą jest niezmienny. 2-o że człowiek poznaje istotnie ten niezależny u niego świat takim, jakim on jest. W takim bowiem tylko razie zadania i obowiązki ludzkości wypływać mogą z poznania istoty świata, jeżeli się przypuści, że ludzkość sama w niczem świata tego zmienić nie jest w stanie, i wskutek tego musi ją do niego zastosować, 2-o, że to, co poznaje ona jako istotę świata, jest nią w samej rzeczy. Gdyby bowiem przypuścić, że świat rozwija się i przekształca i że ludzkość posiada w pewnej mierze moc przekształcenia go, nie wystarczałaby już odpowiedź na pytanie: jakim jest świat, lecz trzeba by pytać jeszcze: co ludzkość chce i może uczynić, co w nim uczynić powinna. Gdyby wykazane zostało, że ludzkość nie poznaje istoty świata, lecz że wszystko co mówi ona o niej i wie, jest tylko jej pojęciem, siła obowiązująca wiedzę o świecie zmalała by niezmiernie. Ulegając bowiem czemuś, co za naturę świata jest podawane, człowiek ulegałby własnej ograniczoności tylko.

Otóż ostatnie z dwóch założeń zostało od czasu *Kanta* obrócone w niwecz i wskutek tego od czasu Kanta już filozofja znalazła się wobec całkowicie odmiennych im dotąd perspektyw. Ani jedno pojęcie nie zostało na swojm dawnem miejscu, ani jedno zagadnienie nie zachowało swej dotychczasowej postaci. Gdy się czyta pisarzy filozoficznych z epoki przed Kantowskiej: czy to Kartezjusza, czy Leibnitza, czy mistyka Böhmego lub Spinozę, uderza tu brak *historycznej atmosfery*. Człowiek styka się bezpośrednio z Bogiem, przyrodą itd., tak jak gdyby myśl rozwijała się w jakiejś pozadziejowej próżni. Rozstrzygają się tu pytania takie, jak o zasadniczej doskonałości lub niedoskonałości świata i nie przyjmuje się zgoła w rachubę, ażeby czynna rola ludzkości mogła tu zaważyć w czemkolwiek. Świat jest zły, albo świat jest dobry. Tu stoi kwestja. Jak gdyby człowiek żyjący w społeczeństwie odczuwał świat bezpośrednio, a nie zaś przez pośrednictwo urządzeń społecznych. Nie jesteśmy w stanie dziś dopuścić, ażeby na jakimkolwiek bądź stopniu rozwoju człowiek stykał się bezpośrednio ze światem, a nie zaś z pewnem środowiskiem kulturalnem. Gdy dziki Jakut mrze z głodu, winien jest nietylko brak ryb w rzece lub mróz: winną jest także ta pierwotność produkcji, która stanowi podstawę jego życia. Świat jest zawsze dla człowieka tem, co uczynił on z niego i co zaniedbał uczynić. Granicowości władzy nad światem, granice znanych sobie środków wytwórczych uważa człowiek za granice świata. Wiemy tylko to o świecie, co pozostaje w jakimś praktycznym względem nas stosunku. Nawet przewaga świata nad nami nie jest nam objektywnie daną. Jest to przewaga czysto względna, przewaga sił przyrody nad naszemi dotychczasowemi narzędziami pracy.

Właściwym organem poznania człowieka względem przyrody, są jego narzędzia: co nie pozostaje w żadnym stosunku względem naszych narzędzi — to nie istnieje dla nas zgoła.

Stulecia przyszłe dziwić się będą potędze klasowego zaślepienia, które sprawiało, że współczesna nauka, współczesna myśl półgębkiem jedynie i z zastrzeżeniami raczy przyjmować wielką prawdę przez Marksa stwierdzoną, że rozwój techniki jest podstawowym czynnikiem postępu kultury. A jednak jest to proste do oczywistości. Wszelki postęp znajomości świata polegać może, albo na rozszerzeniu istniejących już pomiędzy nami a otoczeniem stosunków, lub na stworzeniu nowych. Stosunki pomiędzy człowiekiem a światem zależą od jego własnych organów fizjologicznych: od tych organów sztucznych, t. j. narzędzi, jakie wytworzył. Ponieważ w ciągu rozwoju dziejowego ludzkości, człowiek nie pozyskał nowych organów: wszystkie jego postępy zamknięte były by w granicach przez fizjologiczną organizację jego zakreślonych, gdyby nie nieustannie rewolucjonizujący wpływ wynalazków i udoskonaleń technicznych.

Dopiero uświadomienie sobie, że potrzebujemy jeszcze rzeczy tak oczywistych dowodzić, stwierdza jak upokarzająco głęboko tkwiemy wciąż w średniowiecznym spirytualizmie. Człowiekowi nieuprzedzonemu wystarczył by jeden rzut oka na rozwój nowoczesnej kultury, na życie wreszcie takie, jakie nas otacza do zrozumienia, że wiadomości nasze o świecie zawisły całkowicie od stosunków naszych do niego, te zaś stosunki zależą całkowicie od stopnia rozwoju na jakim pozostaje nasza technika. Pora więc raz na zawsze rozstać się z frazeologją na temat potęgi żywiołu itd. To fatalistyczne poddanie się przyrodzie najzupełniej wykrzywia nasz stosunek do niej. O tem, czem jest przyroda sama przez się nie wiemy nic. Wiemy tylko, czem jest ona dla ludzkości pozostającej na pewnym określonym stopniu rozwoju techniki. Przyroda występuje w naszej myśli w dwóch formach: 1) jako systemat praw, 2) jako żywioł nieznany i nie owładnięty. Nie trudno zrozumieć, że obie te formy zależą od rozwoju techniki. Przyroda poddana prawu, mierze i liczbie, to *zakres* dokąd sięga nasza technika: przyroda tajemnicza, nieznana, żywiołowa, to wszystko to co leży po za granicami działania narzędzi obecnych i urządzeń technicznych.

Stąd wypływa nowe i jedynie dopuszczalne w naukowem znaczeniu określenie przyrody: *dziedziną rzeczywistych i możliwych wpływów techniki ludzkiej.* Myśleć przyrodniczo, znaczy to—myśleć za pomocą pojęć na jakich opiera się działanie znanych nam narzędzi i maszyn. Zasadą poznania przyrodniczego jest wyobrażać sobie cały otaczający nas bezmiar stawania się analogicznie do tych form jego, jakiemi zawładnęliśmy już za pomocą wytworzonych przez nas narzędzi.

Teraz wyjaśnia się nam właściwe znaczenie teorjopoznawczego odkrycia Kanta, tego odkrycia, które nazywał on swoim kopernikowskim czynem Nie pojęcia nasze stosują się do rzeczy, lecz rzeczy do pojęć—mówił on. Znaczy to: nic nie wiemy o rzeczach prócz tego, co poznajemy w formie stosunków zachodzących pomiędzy nami a światem, stosunki te zależą zaś od naszych urządzeń i wynalazków technicznych. Pojęcia człowieka o świecie, wypływają z jego technicznej władzy nad światem, w poznaniu swem nawet nie zależy on biernie od świata, lecz od stopnia czynnej swej nad nim władzy. W narzędziu i maszynie szukać należy źródła prawdziwego przyrodniczych kategorji, za pomocą, których człowiek myśli świat.

Bankructwo sjonizmu.

Wstrętny potworek z chorobliwie wielką głową kończy na szczęście burzliwy a krzykliwy żywot. Zdumiewający krach, olbrzymia zniżka sjonizmu jest zjawiskiem powszechnie i oddawna notowanem —zwłaszcza na głównych rynkach Wiednia i Warszawy. A siła i długotrwałość tej duchowej i materjalnej anemji przekonywają każdego nieuprzedzonego obserwatora, że mamy do czynienia nie z przemijającą chorobą, nie z przelotnem osłabieniem intensywności i napięcia ruchu, lecz z rzeczywistą i ostateczną agonją, z upragnionym *początkiem końca,* który długo już na siebie czekać nie pozwoli. Sjonizm umiera... Żegnamy go bez żalu i współczucia i stojąc nad jego dziecinną mogiłką możemy jedynie zanotować ilość drobnych korzyści i znacznych strat, jakie ten kierunek ze sobą przyniósł. Po nieboszczyku-sjonizmie należy sporządzić szczegółowy inwentarz, polityczny bilans „ma i winien" względem społeczeństwa.

Sjonizm zabiło łatwo i bezpowrotnie to ożywcze i potężne tchnienie wolności, które druzgocącym huraganem przeszło przez serca i umysły w pamiętnym 1905-ym roku. Ludzie zrozumieli sami przez się i odrazu, że wtedy gdy krew się leje na ulicach, grzechem i społeczną zbrodnią jest zbierać „szekle" i przelewać z pustego w próżne podczas jałowej gadaniny zebrań i kongresów. Sjonizm ze swojem autonomicznem państwem, bankiem, delegatami, sultanem i całą swą wiedeńsko-angielsko-i wszelką biurokracją nad i podkomitetów stał się

momentalnie czemś niezmiernie dalekiem i odległem, czemś niesłychanie utopijnem, mglistem i pajęczynowem, czemś,—co w rezultacie nikogo znów tak bardzo nie obchodzi i nie interesuje,—więcej powiem,—czemś, co naprawdę wcale w rzeczywistości nie istnieje. I jak złudna fata-morgana, jak malaryjny niezdrowy opar rozwiał się bez śladu cały kunsztowny i sztucznie na glinianych podpórkach zbudowany gmach „Judenstaatu". Pod przemożnym naporem niesłychanie ważnych i przełomowych wydarzeń i perypetji chwili bieżącej, sjonizm zmalał do mikroskopijnych rozmiarów i zeszedł z szaloną szybkością już nie na drugi a na pięćdziesiąty drugi plan. Poczuliśmy wszyscy, że suchy kawałek codziennego chleba, który się z rąk coraz bardziej wymyka, więcej nas obchodzi niż najsprytniejsze paragrafy bazylejskich programów, że są sztandary w gruncie rzeczy stokroć nam bliższe i droższe, niż ten, z zagranicy importowany, z Dawidowym znaczkiem[1]),—i że, szczerze mówiąc, za „deklarację praw człowieka" oddamy dziesięć połączonych Palestyn z El-Arischem i Ugandą inclusive. Sjonizm nagle stracił moc zapalania serc ludzkich, których napięte struny drgały jednogłośnie pod wpływem zjawisk znacznie ważniejszych, choć zupełnie odmiennych. Ów gwar wielotysięcznej rzeszy ulicznej, ów suchy szczęk odwodzonych kurków, owe śpiewy, w których o cedrach nie było wcale wzmianki, pochłonęły wszystkich niepodzielnie z błyskawiczną szybkością i piorunującą siłą historycznego musu. Ruch, który do niedawna robił jeszcze dość wrzawy,—wyrzucony został sam przez się po za obręb wartko się toczącego społecznego życia. Sjonizm przycupnął gdzieś w kącie, schował się, zamarł, nic o nim słychać nie było, „ej, ktoby tam teraz myślał o sjoniźmie!.." — odpowiadali najżarliwsi eks-zeloci na zwrócone wprost zapytanie. Najbardziej postępowe i najszlachetniejsze jednostki z bardzo mieszanego tłumu sjonistów, najmłodsze, najruchliwsze i jedynie wartościowe elementy porzuciły gromadnie skostniałe i rozkładające się szczątki kierunku, by walczyć o wolność — a nie o więcej niż problematyczną nową ojczyznę *tam*,—hen za morzami i górami. Zabrakło ludzi w sjonizmie, — pozostały wybierki najrozmaitszego rodzaju i kalibru: garść zesztywniałych mumji i mamutów, powtarzających z zegarkową monotonją wciąż te same oklepane piosenki, — i grono ambitnych działaczy, którzy za wszelką cenę chcieliby utrzymać swą tanią popularność i swe tak schlebiające miłości własnej kierownicze stanowiska. Biedni!..—oni i dalej pragnęliby rządzić, ale szeregi licznych ongi członków tak się przerzedzają, że niedługo zbraknie podwładnych. Pozostaną sami dyrektorzy bez zajęcia, sekretarze bez posiedzeń, kasjerzy bez składek, redaktorzy bez czytelników, mówcy bez słuchaczy,—urzędnicy jednem słowem — bez publiczności. Sjonizm obecnie przypomina szkielet ledwo napoczętego a już porzuconego budynku,—samotnie stoją opuszczone przez robotników niewykończone złomy murów, na których rozsiada się już niszcząca pleśń zagłady z ruiny. A nieubłagana dłoń sprawiedliwej w tym wypadku historji pisze już nad zwłokami kierunku swoje ostateczne finis i garstce do końca wiernych jego zwolenników pozostawia w niedługiej przyszłości rolę karawaniarzy, idących za pogrzebem idei. Bo aczkolwiek jako widmo na pół pozagrobowe, jako słaby cień dawnego blasku, sjonizm przez pewien czas może jeszcze istnieć, a raczej wegetować,—będzie to byt czysto nominalny, nie mający żadnego realnego znaczenia i nie wywierający wpływu na dziejowe wypadki.

Tchnienie wolności zabiło sjonizm!.. Dlaczego,—owa jutrzenka, owa „wiosna", która tyle pięknych czynów i usiłowań rozbudziła i rozpleniła,—dlaczego ów powiew nowy, który był niby deszcz ożywczy dla wszystkiego, co wzniosłe i szlachetne, okazał się zabójczym dla sjonizmu postaramy się objaśnić w następnym artykule. (D. C. N).

Dr. Henryk Kohn.

[1]) Trójkąt podwójny—narodowy symbol sjonizmu.

Dusze izolowane.

Dwaj wytworni panowie siedzieli w bronzowym po wielkoświatowemu, lecz zarazem bardzo nowocześnie urządzonym gabinecie, na dwóch wielkich, ciemną skórą obitych fotelach. Pomiędzy niemi, na niskim stoliku stała butelka i dwa smukłe, szmaragdowego koloru kieliszki, z których panowie pili chłodne wino. W kącie pokoju, na słupie kamiennym paliło się piętnaście świec, wytryskujących z koron kwiatów, których zastygły, wężowy pęk trzymała obu dłońmi ponad głową cudna, naga, z bronzu odlana, śmiertelnie znużona i nużąca wieczną nieruchomością kobieta.

Panowie byli zbyt wytworni na to, by należeć do burżuazji. Źle jednak o niej nie mówili, jakkolwiek jeden z nich, gospodarz, był literatem, a drugi, gość — dyletantem. Nie mówili także o polityce. Mimo to nie nudzili się ze sobą i wogóle nastrój tego wieczoru był nad wyraz dyskretny i miły — nie dlatego, że panowie ci byli przyjaciółmi, lecz dlatego, że przyjaciółmi byli od niedawna. Znajdowali się jeszcze w słodkim okresie zadziwień nad odkrywanemi w sobie wzajemnie zupełnie odpowiadającemi klawiszami myśli. Melodja była cicha, chłodna, prosta.

Z pewnę trudnością jeszcze mówili do siebie po imieniu, żenując się nieco tej formy — zbyt serdecznej dla stosunku, jaki ich wiązał. Zaczęli wprawiać się w to zaledwie przed dwoma dniami, na licznej i bardzo dobrze udanej kolacji — wyłącznie w męskim towarzystwie. Gdy idzie o prawdziwie dobrą, wykwintną zabawę, lepiej jest wyrzec się towarzystwa najpierwszych kobiet, dlatego tylko, by mieć możność swobodnego mówienia o kobietach.

Ma to i tę jeszcze dobrą stronę, że, pozwalając na szczerość zupełną w wyjawianiu swych upodobań ogólnych, wyklucza krępowanie się wzajemne znajomością swych osabistych słabostek: poszczególnych zastosowań owych ogólnych upodobań. Miły towarzysz, którego dyskrecji coś zawdzięczamy, przez to samo staje się już mniej miłym.

I tym razem obaj panowie mówili też między innemi o kobietach, właściwie zaś—o kobiecie, jako typie, gatunku, niemal — jako abstrakcyjnym pojęciu. Nie znali wzajemnie swej historji erotycznej — i to im dawało niczym nie skrępowaną swobodę w wypowiadaniu swych spostrzeżeń. Rozmowa ich nie miała częstego w podobnej sytuacji cynicznego, lekceważącego zabarwienia, tym nie mniej jednak nie traktowali oni kobiety, jako człowieka, co należy im poczytać za zasługę, rzadko spotykaną nawet u wielu zupełnie skądinąd inteligentnych ludzi Delikatność pewna, prawie szacunek, stanowiący tło ich słów, był raczej wynikiem sympatji ogólnej i rozumnej i miał swe źródło w wdzięczności, którą zawsze uczuwają dla kobiety ludzie o szlachetnych nawyknieniach i mimo kulturalnych usiłowań nie mogący zapomnieć rycerskich tradycji. Przytem zarówno gość, jak gospodarz, nie dopatrywali się w kobiecie demona ani żadnej innej siły niszczącej.

Poza kobietą tematem rozmowy były jeszcze klejnoty, muzyka, narkotyki oraz kolekcje opraw do książek, których gospodarz był miłośnikiem. Pokazywał nawet gościowi jedną z opraw, najpiękniejszą z całego zbioru, która dotąd pozostała pusta. Na zapytanie gościa, czemu nie wypełnił jej jakimś drukowanym tomem, gospodarz odrzekł, iż lęka się dysonansu między wartością książki i jej oprawą, a w całej literaturze świata nie udało mu się dotąd znaleźć godnego takiej ramy arcydzieła.

Gość, któremu podobała się ta hyperbola, świadcząca o prawdziwym zamiłowaniu kolekcjonisty, wyraził przypuszczenie, że wobec czasów dzisiejszych trudno mieć nadzieję, by arcydzieło takie wkrótce powstało: literatura piękna oddana bowiem została teraz na usługi życiu społecznemu i polityce. Gospodarz, który był także poetą, miał również w tej materji wiele do nadmienienia. Jednak—mimo pewne pesymistyczne zabarwienie, komentował najnowsze zjawiska twórczości zupełnie objektywnie w tonie i doborze słów.

W tym miejscu pierwotna, wytworna linja rozmowy uległa pewnemu, bardzo zresztą drobnemu skrzywieniu, co obaj panowie odrazu zauważyli. Nie starali się już jednak temu zapobiegać. Wypili dosyć wiele. Lokaj dwukrotnie wnosił nowe butelki. Na stole stała teraz kawa i klosz owoców.

Gospodarz wcześniej poczuł w nastroju swym owo odgięcie od pierwotnej, wystylizowanej linji. Zapragnął mianowicie nadać nowej tej przyjaźni pewną treść uczuciową; odezwała się w duszy jego słowiańska, atawistyczna potrzeba serdecznych wynurzeń.

Dlatego zwrócił się do gościa ze słowami:

— Pokazywałem ci już wszystkie pokoje mego mieszkania i miło mi było, że gust mój pochwaliłeś. Przyjaźń nasza jednak upoważnia mię do odkrycia przed tobą czegoś, co mógłbym nazwać nawet tajemnicą swoją, gdybym nie lękał się patosu. — Czy chcesz pójść ze mną?

Gość zaniepokoił się nieco, lecz uprzejmie zamanifestował swą zgodę na propozycją.

Wówczas gospodarz ujął dłonią bronzową kobietę i w blasku trzymanych przez nią kwiatów płonących poszedł z przyjacielem w głąb mieszkania. Przechodząc przez pięknie umeblowane pokoje, gość skonstatował, iż od chwili, gdy je zwiedzał, żaden przedmiotnie zmienił tu ani trochę swego położenia. Zupełna martwota i bezruch, jakby przez tyle dni mieszkanie to nie było własnością żywego człowieka, martwota i bezruch muzeów.

Zatrzymali się przed ciężkiemi, rzeźbą kunsztowną pokrytemi drzwiami, które gospodarz z pewnym trudem i niezręcznością otworzył kluczem, nie tkwiącym w nich uprzednio.

Pokój, do którego wraz z niemi wpadł blask łagodny kwiatów płonących, odbijał gwałtownie od reszty mieszkania. Było w nim obok secesji coś z gotyku, wogóle niesmaczna jakaś mieszanina stylów. Od sufitu, na dwóch pasach z tłoczonej, wyzłacanej skóry zwieszała się trumna szklana, w której leżała kobieta.

Gość, zażenowany dziwną szczerością przyjaciela, obrzucił wzrokiem pokój, dyskretnie omijając trumnę.

— Tak — wyrzekł z pewnym zmieszaniem — bardzo oryginalne urządzenie.

Gospodarz przerwał mówiącemu.

— Ja nie — ja właściwie chciałem ci tylko — pokazać moją duszę...

Podniósł w górę świecznik bronzowy, tak iż światło padło na szklaną trumnę.

— Ach, więc ta dama? bąkał gość, prawie urażony taką nieprzyzwoitością.

— Moja dusza — cicho szepnął gospodarz.

Milczeli przez chwilę, obaj nieco zmięszani. Nagle gość zapytał:

— Czy ona jest żywa?

— Ależ naturalnie! odparł przyjaciel.

— Więc musi dusić się w tej trumnie.

— Och, co znowu — uśmiechnął się gospodarz. Ona już jest do tego przyzwyczajona, zupełnie przyzwyczajona... Dlaczegóż właściwie miałaby się dusić?... Wszakże wszystko jest kwestją przyzwyczajenia.

Ale teraz zkolei gość zapomniał o wytworności. Zbliżył się do trumny i niedyskretnie, zuchwale patrzył na leżącą w niej kobietę. Wydała mu się smutna, napewno smutna—i piękna. Ręce złożone miała,

jakby skrępowane były kajdanami, chociaż łańcuchów nie widać było zupełnie. Gdy zbliżył się do niej, podniosła cudne rzęsy, ale oczy jej, pozbawione źrenic, białe były i niewidzące, jak oczy posągów.—Zadrżał.

— Nie — znieść tego nie mogę, rzekł szybko, zdenerwowany. Czuję, że ona musi się tam męczyć, strasznie męczyć.

Gospodarz, z trudem panując nad rozdrażnieniem, rzekł:

— Upewniam cię, że nie męczy się wcale i nawet jest z tego zadowolona. Widzisz przecież, jaka jest delikatna, subtelna i wytworna, lęka się też niesłychanie piorunów i wszelkich brutalności życia. I właśnie ta trumna szklana izoluję ją zupełnie, w niej tylko czuć się może bezpieczną. A teraz nad nami taka burza, tyle elektryczności w atmosferze.

Gość nie słuchał już. Zapomniał, że własna dusza jego też dobrze była schowana—on przynajmniej nikomu nie opowiadał o tym nigdy. Nagle zagrały w nim wszystkie szlachetne instynkty—i z całej siły uderzył zaciśniętą ręką w trumnę szklaną. Trumna jednak nie pękła, zakołysała się tylko silnie, a cudna leżąca w niej kobieta podniosła ręce złożone, jak do obrony, i znów zamknęła białe swe oczy.

Gospodarz zdumiony niekulturalnym, obrażającym czynem przyjaciela, doprowadzony do ostateczności tym, iż ten zawiódł jego zaufanie, podszedł doń szybko i znieważył go czynnie.

Panowie zamienili bilety wizytowe. I odtąd nie byli już przyjaciółmi.

Zofja Rygier. Nałkowska.

JANUSZ KORCZAK.

Feralny tydzień*).

(Z życia szkolnego).

— Przemyski.

— Dawaj.

Stasio niema odwagi spojrzeć. Przewraca kartkę po kartce: dwa, trzy, trzy, dwa, trzy, dwa, trzy, trzy, — a teraz?

Rumieńce wystąpiły mu na policzki. Serce bije tak mocno, jak na gieografji. — Na pierwszej stronicy dwa małe błędy, raz podkreślone, trzeci—podkreślony falistą linją — i jeden z owych dwóch grubych błędów. — Niema co patrzeć: dwójka.

— Ile?

— Odczep się.

Stasio przymyka oczy, przewraca kartkę i nakrywa bibułą. Bibułę odsuwa powoli. — Niema czerwonego atramentu, niema, niema, może choć z dwoma minusami?—I oto fatalne zdanie. Sen, czy jawa?—Niema. — Stasio gotów jest krzyknąć z radości: błąd jest — siedzi bestja, ale go Szparag nie zauważył.—Śmiałym ruchem odkrywa stopień: trójka z minusem. Gdyby zauważył, byłaby dwójka. — I Stasio doznaje bardzo złożonego uczucia: wdzięczności dla Szparaga, że nie zauważył błędu — i gniewu, że mu za jeden gruby błąd i dwa małe — postawił tylko trójkę z minusem: przecież mógł czystą postawić.

— Widzisz? — pokazuje sąsiadowi.

Sąsiad powitał odkrycie życzliwym uśmiechem.

— A ty ile?

— Trzy plus.

Zaczęli porównywać błędy.

— Ciszej, upomina nauczyciel.

I zaczyna się poprawianie dyktanda, dziesiątki prawideł, powtarzanych dziesiątki, mało—setki razy. — Stasio patrzy na trójkę z minusem i nie myśli o niczem: jego system nerwowy wyczerpał się do dna. Siedzi bezmyślnie i nawet się nie cieszy.

— Przyłuski!

Stasio wstaje.

— Dlaczego? — pyta nauczyciel.

Stasio patrzy błagalnie na kolegów.

— Priewoschodnaja stiepień, brzęczą ze wszystkich stron klasy.

— Priewoschodnaja stiepień, powtarza Stasio.

— Co priewosch. stiepień? — pyta nauczyciel, biorąc za pióro.

— Jat' — podpowiada klasa zbyt głośno.

— Jat' — powtarza Stasio.

— Trzeba uważać, mówi nauczyciel.

Uczeń z pierwszej ławki pokazuje mu na plecach dwa palce. Stasio sam przecież widzi: stoi i widzi, jak nauczyciel odszukuje jego kratkę w dzienniku i stawia powoli i z rozmysłem wyraźną dwójkę.

Piorun z jasnego nieba...

* *

Józio niecierpliwie oczekuje Stasia — sam mu drzwi otworzył, i nie pozwalając zdjąć tornistra zawołał:

— Chodź to ci coś pokażę.

— Poczekaj, tylko zdejmę kalosze.

— No prędzej. Wiesz: w tym nowym sklepie dodają do każdego kajetu jedną ogromną pieczątkę albo sześć małych — i do wyboru. — A do bruljonu dodają łańcuszek

— Jaki łańcuszek?

— Prawdziwy.

— Kłamiesz.

Józio jest bezgranicznie zadowolony, że udało mu się zainteresować starszego brata swojem wielkiem odkryciem.

— O, widzisz: naklejka, bibuła, sześć pieczątek i stalka.

— Ta stalka nic niewarta.

— No to co? A pieczątki ładne?

— Tak sobie.

Józio czuje żal do Stasia: sądził, że go olśni, oszołomi, a tymczasem... Nie wie biedak, że Stasio ma dwójkę z ruskiego.

— Na obiad. Ludwika, zawołaj dzieci.

Zosia wpada do pokoju. Spóźniła się: była w kuchni, a chciała wiedzieć, co Stasio powie, zobaczywszy bibułę, sześć pieczątek, naklejkę i stalkę, dodane do jednego zwyczajnego kajetu.

— No co? — pyta zaciekawiona.

— Stasio, Józio, Zosia na obiad. Ile razy trzeba was wołać?

Mama jest w złym humorze. Ta idjotka Ludwika znów oddała klucz od góry, a przecież wiedziała doskonale, że w środę ma być pranie. Mamę to nic nie obchodzi: niech sobie na nosie wiesza bieliznę, kiedy taka mądra. — Mama już z nią dłużej nie może wytrzymać. Do latania ma rozum, a do roboty — zupełne cielę — i w dodatku leniwe. Od pierwszego może sobie szukać miejsca. I tatuś znów się spóźnił, a później będzie się krzywił. Niech się krzywi: mamę to nic a nic nie obchodzi.

Zosia nasłuchała się tego wszystkiego w kuchni. Zły humor mamy i jej się udzielił.

— Stasiu, nie kop się.

Stasio trącił ją nogą niechcący. Ale kiedy tak, to już naumyślnie ją kopnie.

— Mamo, Stasio się kopie.

— Wstydziłbyś się: taki stary chłop, a nie umie przy stole siedzieć.

I Stasiowi przychodzi do głowy, coby mama powiedziała, gdyby przy złym humorze wiedziała jeszcze o dwójce. Zamiast: „wstydziłbyś się" byłoby: „Stasio, jak jeszcze raz ją ruszysz, to pójdziesz precz od stołu". I to jakim głosem!

* * *

Taka otrzymana w poniedziałek dwójka podobna jest do wielkiej muchy naprzykrzonej i do kleksu na bibule. Jak mucha, brzęczy ona, plącze się w każdej myśli, przy każdej sposobności, i jak kleks na bibule, rozlewa się i rozrasta, coraz większa i większa, rośnie przez cały tydzień. — Gdyby to można odrazu powiedzieć mamie: „dostałem dwójkę", i już się pozbyć. Tak byłoby lepiej; a przecież Stasio tak nie robi i nikt tak nie robi. I w sobotę nic nie mówi, chowa dziennik, aby nie psuć sobie niedzieli. „Nie dał dziennika, w poniedziałek odda". Ale niedziela zepsuta i tak. — Stasio już w niedzielę musi być spokojniejszy, już jest nieśmiały, już nie ośmieli się ani prosić o nic, ani uderzyć Józia albo Zosi: bo wie, że zawinił, i gdyby rodzice uważniej mu się przyjrzeli, toby mogli sami zauważyć: zamknie się w pokoju i niby się uczy—nie śmie czytać otwarcie pożyczonej książki.

Taka otrzymana w poniedziałek dwójka odbiera mu ochotę, odwagę, wiarę w siebie, chęć do pracy Poco się uczyć, kiedy i tak ma już dwójkę i nic go nie ocali od gniewu rodziców. Choćby mu się udało nawet dostać czwórkę, to dwójka zawsze ją zasłoni.

I Stasio wie dobrze, że jeśli w poniedziałek dostanie dwójkę, to nigdy się na jednej nie skończy: zawsze w takim tygodniu we wszystkiem gorzej się wiedzie.

I kiedy we wtorek wyrwał go nauczyciel do tablicy, Stasio prawie był pewny, że dostanie dwójkę, z góry wiedział, że da mu właśnie takie zadanie, gdzie będzie dzielenie i mnożenie drobiej i że się pomyli.

Wczoraj korepetytor znów mu tłomaczył, że jeżeli cztery pomnożyć przez pół, to będzie dwa, a jeżeli rozdzielić to osiem. Była chwila, kiedy naprężył uwagę i zdawało mu się, że zaczyna rozumieć. Ale przyszło mu na myśl, że w takim razie, zamiast tej całej plątaniny, można zamiast dzielić—mnożyć i odwrotnie, i powiedział to korepetytorowi. Korepetytor zaczął krzyczeć, że arytmetykę mądrzejsi od niego ludzie wymyślili i że Stasio jest leń, że zamiast pomyślić trochę, woli wynajdywać sposoby, żeby nie potrzeba było wcale myśleć, że arytmetyka jest głupstwo w porównaniu z algebrą, że jeżeli nie może zrozumieć głupiego mnożenia drobiej, to niech się lepiej pożegna z gimnazjum.

Stasio sam wie o tem. Raz podczas pauzy stanął we drzwiach piątej klasy i słuchał, jak jeden drugiemu objaśniał gieometrję i rysował koła na tablicy. Stasio wrócił do swojej klasy i próbował narysować koło: wyszedł jakiś kulfon krzywy. I nic dziwnego: jak można bez kratek narysować równe koło i żeby było równiusieńkie, bo inaczej nic nie wyjdzie, a w kole trzeba narysować jeszcze z dziesięć rozmaitych linij i żeby wszystko dokładnie się schodziło. Stasio już wtedy zrozumiał, że nie skończy nigdy gimnazjum. Sam widok grubych książek, wypchanych tornistrów, odbierał mu całą odwagę. A egzamina: w czwartej klasie z całych czterech klas: ile to samych wierszy tylko się nazbiera. A czy on pamięta choć jeden z tych wierszy, których się uczył przed dwoma laty?

Albo te drobi. Wczoraj była już chwila, kiedy zaczął rozumieć. I teraz, żeby mu dali się namyśleć, toby może zrobił. Bo jeżeli mu się zostało pięć siódmych pieniędzy i to było 35 rubli, to on wie, że musiał mieć więcej przedtem. Zaplątało go tylko, że chce dostać więcej i nagle ma dzielić. Sam korepetytor przestraszył go odrazu temi iksami. Iksów Stasio zupełnie nie rozumie.

Nie martwi go nawet ta dwójka. Do dzwonka zostało trzy kwadranse, może sobie przynajmniej spokojnie siedzieć, że go nie wyrwą. — Jedna czy dwie dwójki, wszystko jedno; tak czy tak, będzie mama krzyczała, a tatko będzie prawił morały:

— Ja pracuję ciężko, jesteś złym synem.

Wszystko mu jedno.

Stankiewicz robi zadanie, pisze, wyciera, plącze się, chce się wykręcić od dwójki. —Stasio przygląda mu się obojętnie, nawet z pewnem zaciekawieniem, nawet z pewnem zadowoleniem: już przeżył to, co tamten ma dopiero przed sobą.

(*D. c. n.*)

Światopogląd religijny.

Przez spółkę nakładową „Książka“ wydany po polsku zbiór kazań Kalthoffa, pastora z Bremy, stanowi dziełko bardzo pouczające. Kalthoff opiera swój „Światopogląd religijny“ — zresztą zupełnie słusznie — na uczuciu, wyprowadzając słuchacza swego i czytelnika ze świata trzeźwej logiki do sfer podobłocznych wzlotów. Słusznie, powiadam, ponieważ wszystko to, co zwiemy religją opiera się na uczuciu, uczuciem żyje, a podmuch rozumowań mrozi to i gasi. Książkę więc swoją poświęca Kalthoff tym, którzy, mówiąc słowami wydawcy, „nie czują się szczęśliwymi w atmosferze czystej logiki“, którzy szukają i pragną światopoglądu „religijnego“, bo ich uczuciowej naturze nie wystarcza światopogląd, oparty na suchem rozumowaniu. A takich ludzi znajdzie się dużo nawet wśród „bezbożników“, którzy się dawno wyzbyli tradycyjnych zasad religji, ogłoszonej przez oficjalny kościół i jego katechizmy. Religja Kalthoffa to poprostu czysta etyka, a Bóg jego to oderwane pojęcie miłości i wszystkiego, co najlepsze, co ukochania jest godne.

Kalthoff jast duchem oryginalnym i niektóre jego poglądy przedstawiają dużo ciekawej treści dla każdego myślącego człowieka. Takie postacie, jak Kalthoff, Kutter (autor ciekawej książki: „Sie müssen“) i im podobni dowodzą, że można być człowiekiem wierzącym, o światopoglądzie religijnym, a przecież nie być pokrewnym duchem czarnej reakcyjnej armii. Z drugiej zaś strony, coraz częstsze pojawianie się takich ludzi w łonie duchowieństwa, świadczy o bardzo ważnem zjawisku umysłowego fermentu w tej klasie ludzi.

Kalthoff jest człowiekiem, któremu nie są obce zdobycze nauki nowoczesnej, przeciwnie, rozumie on prawa natury i, co najważniejsze, nie próbuje, jak wielu mędrców w sutannach, pogodzić dogmatów kościelnych z teorjami nauk ścisłych. Tego rodzaju „robota“ nie przynosi żadnej korzyści kościołowi a zwiększa tylko zamęt w głowach ogółu, nie mogącego się odrazu zorjentować. Kalthoff potępia te próby i nie chce z wiary tworzyć pewnego rodzaju wiedzy, systemu filozoficznego, lecz całkowicie chce ją na uczuciowych siłach duszy ludzkiej oprzeć. W rozdziale p. t.: „Treść wiary w Boga“ znajdujemy zdanie: „Zaiste, nie jest to zarzutem przeciwko prawdzie wiary w Boga, że nie w dziedzinie poznania ludzkiego należy szukać tej wiary, ale w głębiach zdolności czucia. Czyż koniecznie pomyślanem musi być to wszystko, co wielkiem jest i dobrem, prawdziwem i świętem dla człowieka?“

Treść wiary w Boga zmieniała się często i zmienia w historycznym biegu życia ludzkości. Już wielu Bogów stawało się bożkami i zamiast być „mocą życia i miłości dla wszystkich wierzących, były sługami ich sobkowstwa“. Czyniąc tak z Boga miłości, bożka swego sobkostwa rozumować mogą w ten sposób: Bóg nasz jest Bogiem miłości i w dobroci swej uczyniłby wszystkich ludzi szczęśliwymi, ci więc, którym jest źle dziś na ziemi, sami sobie muszą być winni.

Na uwagę zasługuje rozdział p. t.: „Kult religijny“. I tu Kalthoff występuje przeciwko kościołowi oficjalnemu i jego zadaniom dzisiejszym, lecz nie chce przez to powiedzieć, aby niepotrzebną była wogóle organizacja religijna. Mówi on: „Widzieliśmy przecie, że zupełnie obce wpływy nadały kościołowi to piętno wsteczności.“ Kalthoff chce, aby kościół zajął miejsce we współczesnem życiu, jako instytucja, mająca do spełnienia wzniosłe zadania, nie takie jednak, jakie mu chce narzucić czarna armija. Jak sobie wyobraża Kalthoff owe zadania kościoła? Nie można znaleźć w jego książce jasnej na to odpowiedzi, jak i na wiele innych pytań, bo cała ona jest dość mglistą i to jej za główną wadę policzyć trzeba. Kalthoff chce, by kościół był instytucją, wiążącą duchy ludzkie w jedność, niezależnie od ciasnych granic narodowych, państwowych i wyznaniowych. „Czemużby ta myśl jedności, jedności ludzkiej nie miała być i dziś dziedzictwem kościoła, by tego dziedzictwa strzegł? Przecież potrzeba nam i w politycznym i w gospodarczym rozwoju narodów międzynarodowej kultury ducha. Ani złotej, ani czerwonej, a przedewszystkiem nie czarnej międzynarodowości, ale ludzkiej i wolnej“. Widzimy więc, że Kalthoff pragnąłby widzieć w kościele coś w rodzaju międzynarodowego języka wierzących, i wydzierających się na wyżyny religijne dusz.

Jeśli przypomnimy sobie raz jeszcze książkę Kuttera, to zobaczymy, że Kalthoff najbliższym jest poglądów autora „Sie müssen“, gdy mówi, że w swych poszukiwaniach Boga i prawdy, znajdywał je najczęściej tam, gdzie oficjalny kościół widział największe wady i błędy. Oto jak się wyraża o tych obozach, w których zeszedł się z Kutterem: „Przekonany byłem. że w obozach tych gnieżdżą się jedynie zgubne błędy i nieprzyjaciele szczęścia ludzkości. A przecież, gdym się zbliżył, znajdowałem nieraz w tych najbardziej okrzyczanych błędach najżywotniejsze prawdy“ (str. 2). Ciekawym bardzo jest rozdział, zatytułowany: „Religja a klechy“. Określając religję, jako wieczystą tęsknotę człowieka do szczytów, do ideałów, Kalthoff nazywa klechami nietylko kler, lecz wogóle tych wszystkich, którzy przeszkadzają ludziom w dążeniu do tak pojętej religji. „Instytucja Klechów — powiada on — istnieje nietylko w religji, ale także w nauce i sztuce. Wszędzie, gdziekolwiek ludzie przywłaszczają sobie duchowe kierownictwo w życiu“.

Dalej powiada, że, gdyby nam się udało usunąć klechów z kościoła, zostałoby ich jeszcze dosyć na całej linji życia pod różnemi maskami. Na takie oryginalne pojęcie „klechów“ można się w zupełności zgodzić. Czyż i u nas nie widzimy na każdym kroku takich

„klechów“ w sutannach i bez sutanny? Czyż nie roi się od mędrców, którzy każą ludowi wierzyć bez apelu w swoje credo, zabijając wszelką samodzielną myśl. Lecz dziś idzie to już coraz trudniej: budzą się umysły i szukają same swej prawdy i w końcu trafiają do niej bez „klechów“, choć po długich błądzeniach. A „klechy“ z różnych kościołów i niekościołów łamią ręce nad szerzeniem się przewrotnych idei wśród ludu. Najgorzej musi ich to boleć, że wśród nich samych coraz częściej zjawiają się jednostki w rodzaju Kuttera, Kalthoffa, Göhrego i t. p. i biją taranami krytyki umysłowej czy też uczuciowej w zmurszałe gmachy obskurantyzmu.

W rozdziale zatytułowanym: „Ideał społeczny“ wyraża Kalthoff swój stosunek do prądów społecznych, nurtujących współczesne życie. Kalthoff jest indywidualistą, ale nie takim, co pragnie rozwoju indywidualnego dla wybitnych jednostek, kosztem masy ludzi. Nie, on żąda prawa jaknajwszechstronniejszego rozwoju dla każdej jednostki ludzkiej z uwzględnieniem tegoż prawa dla całości. Z tego stanowiska wychodząc widzi ideał społecznego ustroju w żądaniach demokracji, dającej największe gwarancje indywidualnego rozwoju. Wogóle, podziwiać trzeba, jakie skrajne światopoglądy ten obóz łączą i obejmują w całość: od idealistów w rodzaju Kalthoffa aż do trzeźwych, może nawet trochę za trzeźwych działaczy dnia, każdy tam znaleźć może swoją drogę, swoje stanowisko.

Nader ciekawym jest rozdział, zatytułowany „Biblia“. Pierwszy raz zdarza mi się czytać takie zdanie o tej księdze, wygłoszone przez człowieka wierzącego. Kalthoff twierdzi, że najbardziej ujawnia się potęga przeszłości w kościele w stosunku jego do biblji. Biblje uważa się za coś jednolitego za księgę według której człowiek wierzący swą wiarę, swój światopogląd kształtować powinien. A przecież biblja zawiera kilka rodzajów wiary, różnych co do podstawowych zagadnień religji, wyobrażenia Boga, np. Znajdujemy tam umysłowe pojęcie najwyższej istoty, pokrewne z fetyszyzmem a z drugiej strony mamy pojęcia tak oderwane, że zdają się rozpływać w panteizmie. I tę jedyną księgę, tak niezrozumiałą i zawierającą różnorodne poglądy kościół chce dać swym wiernym jako streszczenie wszystkich dążeń nowoczesnej, skomplikowanej duszy ludzkiej. Kościół stracił zupełnie kontakt z życiem, chce żyć i przemawiać tak jak za czasów Mojżesza. A tymczasem płynie życie, zmienia się i różniczkuje dusza ludzka i nie mogą jej wystarczyć dawne pojęcia.

Co niedziela powtarza się ludziom, co rzekli prorocy i apostołowie, a nigdy nie mówi się o tem, co im dziś na sercu leży, co do ich duszy przemawia codziennie. Dalej mówi Kalthoff, że w biblji życie religijne odnajdzie jeszcze dużo skarbów zapewne, jeżeli potrafimy czytać ją nie tak jak ją czytają „uczeni w piśmie“. Ale i w wielu innych książkach, bliższej i dalszej doby dusza ludzka znaleźć może karm dla religijnego życia i w ten sposób biblja wciąż się rozszerza, powiększa tak, że w końcu prawdziwa biblja ludzkości bedzie tak wielką, że nasza stara biblja będzie w niej tylko jedną księgą, a może jedną tylko stronicą (str. 193).

Nie będę przytaczał treści wszystkich rozdziałów książki Kalthoffa — warto ją przeczytać — lecz parę słów chcę powiedzieć wogóle o takich zjawiskach w kościele, jak Kalthoff, Kutter itp. Co zwiastują ci ludzie tak obcy swemu środowisku? Czy są oni zwiastunami odrodzenia kościoła? Moim zdaniem, nie. Dla mnie tacy ludzie jak Kutter i Kalthoff są objawem bliskiej katastrofy, koniecznego oderwania się kościoła od życia mas.

W jakiej formie wystąpi po tej katastrofie życie religijne ludzkości, które wraz z kościołem zginąć nie może i jest wiecznem, jak wieczną jest tęsknota duszy do wyżyn? Tego przesądzać niepodobna dzisiaj. Zrodzi się zapewne nowe życie religijne dla każdej jednostki będzie to „prywatne sanktuarjum“ każdego, do którego nie sięgnie mu żadna brudna ręka, choćby ubranego w fijolety dostojnika.

Stanisław Krauz.

Reforma wyborcza w Austrji.

(Dokończenie).

Wyjątek z ogólnego prawa podziału na okręgi po jednym mandacie stanowią jeszcze Morawy, gdzie w jednym okręgu głosują oddzielnie czesi i oddzielnie niemcy. Ludność czeska wybiera 27 deputowanych, niemiecka 17.

W całym projekcie występują wyraźnie dwie tendencje rządu: zachowanie przewagi w parlamencie narodowości niemieckiej i z drugiej strony; paraliżowanie praw klasy roboczej.

Tendencje te występują już przy podziale liczebnym okręgów. Ilość deputowanych na całe Państwo jest obliczone na 455, czyli jeden deputowany na 56,000 ludności. Skład liczebny okręgów waha się między 26,000 a 70,000. Wahanie to, aczkolwiek jest bez porównania mniejsze niż w Niemczech (50,000 — 700,000) upośledza ludność w ośrodkach przemysłowych, czyli że wpływa na niekorzyść klasy robotniczej. Rząd tłomaczy się tutaj, że przy rozkładzie kierował się wysokością płaconych przez ludność danego okręgu podatków, lecz właśnie tego rodzaju umotywowanie urąga podstawowym wymaganiom równości wyborów.

Na niekorzyść proletarjatu przemysłowego wpływa również podział okręgów wyborczych według narodowości, gdyż przy połączeniu okręgów wiejskich i miejskich, ludność tych ostatnich zostaje w mniejszości.

Ale już krzyczącym pogwałceniem praw proletarjatu jest punkt orzekający, iż dla korzystania z prawa głosowania należy zamieszkiwać w danym okręgu najmniej rok jeden. Ludność robocza Austrji w przeważnej swej części wędruje z miejsca na miejsce, wskutek czego odnośny punkt wyrzuca poza obręb nowego prawa całe zastępy proletarjatu.

(Dotychczas termin ten był określony na 6 miesięcy).

Wszechniemieckie tendencje projektu występują w podziale okręgów w Morawach. Niemcy stanowią tam 29% ogółu ludności, Czesi zaś — 70%. Należałoby się czechom 31 mandat, niemcom 13, tymczasem niemcy otrzymują 17 mandatów, czesi—27. Wogóle, niemcy w całym Państwie otrzymują o 42 mandaty więcej nad przeciętną liczbę, podczas gdy słowianie o 29 mniej.

Opieką rządu, aczkolwiek stosunkowo w mniejszym znacznie stopniu niż niemcy cieszą się polacy w stosunku do rusinów i podczas gdy, jak widzieliśmy, projekt stara się bronić praw mniejszości tam, gdzie mniejszość stanowią polacy, obchodzi on milczeniem prawa rusinów tam gdzie ci ostatni są w mniejszości.

I mimo to najgorętszych obrońców reformy, najsilniejsze poparcie dla swojego projektu znalazł rząd właśnie w przedstawicielach tych upośledzonych przez prawo odłamów społecznych. Biedny Gautsch nie może się opędzić od zarzutów, że opiera się na społecznej-demokracji wbrew interesom narodowym. Reakcja wszystkich narodowości zapomniawszy o rozterkach i niesnastkach wzajemnych powstała jak jeden mąż przeciwko reformie i aczkolwiek żadna z tych broniących interesa narodowe partji nie odważa się otwarcie zaprzeczyć konieczności jej przeprowadzenia, to nie mniej starają się wszystkie na prześcigi z właściwą sobie zaciekłością wynajdywać karkołomne „motywy“, które „przy całym ich współczuciu dla idei powszechnego głosowania“ przeprowadzenie tego prawa, ich zdaniem uniemożliwiają. I podczas gdy centraliści niemieccy zarzucają projektowi, że prowadzi do niebezpiecznej centralizacji i otwiera szeroką drogę dla tendencyj federalistycznych, czesi federaliści krzyczą wniebogłosy, że nowe prawo prowadzi również do *niebezpiecznej* — centralizacji. Nacjonaliści niemieccy krzyczą, że nowy projekt redukuje prawa niemców i to samo w stosunku do siebie oświadczają narodowcy czesi. Prawo to spotęguje konserwatywno-agrarny element w izbie, narzekają elementy liberalno-przemysłowe i jednocześnie agrarjusze wszystkich narodowości, którym reforma odbiera 85 mandatów ze zrozumiałą wściekłością narzekają, że nowe prawo daje miastu przewagę nad wsią. Lecz i to jest nieprawdą. Ale w całej tej kakafonji głosów trzyma prym polska szlachta, która podkopuje się pod demokratyczną reformę w sposób najnikczemniejszy, starając się według swego zwyczaju przedewszystkiem zastraszyć koronę. Nowe prawo, wskutek spotęgowania elementu słowiańskiego w parlamencie grozi dalszemu przymierzu między Austrją a Niemcami — insynuują ci „wszech-polacy“ i „wszech-słowianie“. I to grożące państwu spotęgowanie elementów wszechsłowiańskich należy rozumieć, że lud polski i jednocześnie lud rusiński zdobędzie w nowym prawie broń przeciwko bezczelnej gospodarce szlachty polskiej w Galicji. I „hrabia Wojtek“ zgrzeszył prawdomównością, gdy zarzucił rządowi, że „chce wpuścić do parlamentu stado głodnych szczurów“.

W rzeczywistości system kurjalny usuwał od udziału w prawie głosowania w Czechach, Morawach na Śląsku i w Galicji około 4 miljonów obywateli, obecnie ilość ta zostaje zredukowana do 1,173 tysięcy. I to jest najwłaściwszy motyw, który kieruje przedstawicielami „interesów narodowych“, gdy przeciwko prawu się wypowiadają.

Widzieliśmy jak dalekim jest od doskonałości projekt przez rząd Gautscha przedstawiony, jak mało odpowiada istotnym wymaganiom demokratyzmu lecz mimo to ustanawia on prawo powszechnego i równego głosowania i przez wprowadzenie nowego prawa parlament uprzywilejowanych raz na zawsze upada. I dla tej zasady społeczna demokracja będzie ze wszystkich sił broniła projektu i mimo wysiłków skoalizowanej reakcji nie da sobie wydrzeć dokonanego na rządzie zwycięztwa — dojrzała reforma będzie przeprowadzona.

Następujące słowa prezesa ministrów Gautscha świadczą o tem, że rząd zdaje sobie z tego sprawę: „Na częste zarzuty, że właściwą korzyść przyniesie nowe prawo partji społeczno-demokratycznej — powiada Gautsch — odpowiem: Jeśli chcecie skutecznie zwalczać społeczną demokrację należy jej pozbawić najgroźniejszej broni, mianowicie zarzutu, że Państwo wydziedzicza prawnie mniej uposażone materjalnie klasy społeczne. Skoro pozbawimy demokrację społeczną tej broni, potrafimy na gruncie jednakowych praw daleko skuteczniej z nią walczyć Partje głosując za reformą przyczynią się do wielkiego postępu politycznego, ja zaś ze swojej strony spodziewam się od przekształconego, na podstawie równego prawa, parlamentu jednakowo dobrych skutków dla wszystkich i pokrzepiony tym przekonaniem idę do walki z czystym sumieniem. Ja poczuwam się do winy, że tak długo z projektem zwlekałem, lecz obecnie oświadczam, że dopóki nie wyczerpię wszystkich środków legalnej walki, broni nie złożę i gdy padnę, padnę ze świadomością, że złożyłem pożyteczną ofiarę. Jednostki odchodzą, lecz ideje pozostają, mój upadek nie będzie upadkiem reformy wyborczej“.

Pan Gautsch został ideologiem z musu, lecz niemniej przeto system kurjalny liczy już tygodnie swego istnienia, najwyżej miesiące.

Marjan Aleksandrowicz.

Wiadomości Bibljograficzne.

N. Natovitch. La Rumie et l'allione anglaise. étude historique et politique; Paris, Plon.

Gabriel Compayé: Horace Mann et l'Ecole publique aux Etats-Unis. Paris, Delaplane.

G. L. Dickinson. Le Diveloppement du Parlament pendant le XVIII siécle. Paris.

Piere Bietry. Le Socialisme et les Januar Paris.

Joseph Dutois. L'Empire de l'Argent.

Kommunalpolitische. Abhandlungen. Gry ünter Ltg. v. Paul Hirsch Berlin, Buchs. Vorwärts 4 gdit.

S. I. Giwago u. Max. Weler. Zur. Beurteilung. der gegenwästigen politischen Eutwickelung Russlennds. Tübingen.

Paul Szczepański Moskau in Bluf u. Schuse. Reisebrife aus. dem revolucionisten Rusland Berlin 1906.

Silvio Gessel, Die Verwirklichung das Rechts auf den vollen Arbeitertag dem die feld u. Bodeureforme 1906.

Der Hofhung des Kapitals. Antimilitariche Liga, sürich Grütliverein 1906.

Charles. Benoist, La Crise de l'blat moderne. L'organisation du Travail Tom I 496 pages Paris Plon.

OGŁOSZENIA.

Towarzystwo przyjmuje na dogodnych warunkaeh

Ubezpieczenia od ognia, na życie i od nieszczęśliwych wypadków

założone w 1859 r.

St. PETERSBURSKIE Tow. UBEZPIECZEŃ.

Kapitał zakładowy oraz rezerwy przeszło

Rs. 16,000,000

Zarząd w Petersburgu: Newski Prospekt (dom własny).

Bliższych objaśnień udziela ustnie i piśmiennie

Jeneralna Reprezentacja na Król. Polskie

Warszawa, Czysta 8, (dom własny),

Warszawskie Biuro Pośrednictwa Pracy

JEROZOLIMSKA 80.

ODDZIAŁY:

Nauczycielski, Rolny, Handlowy, Przemysłowy, Pracy kobiet, Rzemieślniczy, Służbowy i Robotniczy.

Na żądanie cenniki franco **Telefon 4847.**

MAGAZYN BIELIZNY

„Leona"

Marszałkowska 123,

został na nadchodzący sezon opatrzony w najświeższe modele **bluzek jedwabnych, batystowych, halek i bielizny damskiej.** Również wielki wybór **krawatów, spinek, chustek** do nosa, **trykotaży** i wielu innych przedmiotów, wchodzących w zakres konfekcji męskiej.

Istniejąc od lat 25-iu staram się z każdym rokiem wydoskonalić moje wyroby do tego stopnia, iż jestem w stanie zadowolnić najwybredniejsze wymagania. Jako specjalista, śledzę w tej gałęzi pierwsze mody zagranicze, a zadanie mojem jest i będzie nie ustępować im i nadal w wykonaniu, zapewniając tem samem Szanowną klijentelę że kupiona bielizna na miejscu u wydoskonalonego fachowca—stanowczo przewyższa zagraniczną.

Wszystkie wyroby mojej pracowni są wykonane z najlepszych materjałów i nieprędko w praniu podlegają zniszczeniu.

Mając nadzieję zyskania dalszego poparcia i łaskawego zaufania, mam zaszczyt polecić się względom Sz. Publiczności

Właściciel Magazynu Bielizny

„LEON"

„PRZEGLĄD SPOŁECZNY"

Tygodnik postępowy społeczno-polityczny, literacki i naukowy

1) zamieszcza: artykuły w kwestjach społecznych i ekonomicznych, przeglądy spraw wiejskich i prowincjonalnych, korespondencje z kraju i zagranicy; 2) powieści, poezje, krytyki literackie i artystyczne; 3) artykuły naukowe z różnych dziedzin wiedzy.

Jako **Bezpłatny Dodatek** otrzymują prenumeratorzy dzieła:

W. Wundt, **Psychologja.** *K. Kautsky*, **Etyka** i inne.

PRENUMERATA

w Warszawie	r. k.	*Z przesyłką pocztową:*	r. k.
Rocznie rb.	7 60	Rocznie	9 —
Kwartalnie	1 90	Kwartalnie	2 25
Miesięcznie	— 65	Numer pojedyńczy	— 15

Adres: Warszawa Bracka 12.

Numer okazowy bezpłatnie franco.

---

15 k. szt. **15 k. szt.**



„Ser ten wyrabia się, **najświeższej śmietanki"**.

Do nabycia we wszystkich lepszych mleczarniach i handlach gastronomicznych.

Przedstawiciel JÓZEF SZMOLKE.

Marszałkowska 151.

Telef. 7.25.

Redaktor i Wydawca **A. Miller.** Druk Piotra Ambroziewicza, Warecka 5.